

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacja z angielskiego.

9)

Byłem tego pewny! Bo przecież widziałem pustą pochwę, wiszącą u pasa marynarza i przypomniałem sobie słowa Railtona: „Kapitanie, to twój nóż”. Gdybym własnymi oczami patrzył, jak ów nóż zatapia się w łonie ofiary, nie mógłbym być pewniejszy, że to ten człowiek zamordował mego ojca. Stwierdziwszy to w pamięci szybkim rozumowaniem i zestawieniem wszystkiego, co się działo na Skale Umarłego i na wybrzeżu, uczulem, że trwoga, którą wzbudzał we mnie, rozwiązała się nagle, a ślepa nienawiść zajęła jej miejsce w moim sercu; nienawiść, obecnie bierna i bezczynna, lecz — wierzyłem — że z czasem, w przyszłości, musi stać się czynną i w końcu zwyciężyć. Wiedziałem zbyt dobrze, że człowiek, przezywający się Giorgio Rodofani, zdolny jest bez wahania mord popełnić, bo przecież patrzyłem, jak go spełniał. Lecz teraz, na jego ponure i złowrogie konto, zapisywałem w duchu dwa zgony. Przekonany byłem, że ręka, która morderczem żelazem przeszła pierś mego ojca, wywołała również śmierć mojej matki. Tak, byłem tego pewny!

— Zamordowano go — mówił wuj Loveday — pchnięciem w serce, zadaniem nie z przodu, lecz podstępnie z tyłu. W ciele twego ojca, gdy je badałem, znalazłem ten oto sztylet. Złamany był przy rękojeści i pozostał w ranie krwawiącej się prawdopodobnie bardzo nieznacznie i krótko. Śmierć musiała być natychmiastowa... O ile sądzić mogę, dziwna to sprawa, mój Kasprze, a i nóż, którym zbrodnia popełniona została, wydaje mi się wcale niezwykłą.

Podał mi go.

Przedstawiał się, jak broń długa, wązka, bardzo ostro zakończona i ciekawie grawirowana. Z jednej strony zupełnie naga, po drugiej pokryta była bardzo skomplikowanym, głęboko w żelazie wrytym rysunkiem. W połowie, w pośród kwiatów i owoców, wyczytałem starannie wyczyszczone wyrazy: *Ricorda Ti!*

— Co to znaczy? — zapytałem wuja, zwracając mu sztylet.

Głos mój był tak spokojny i poważny, że wujaszek, zanim odpowiedział, patrzył na mnie przez moment z pewnem zdziwieniem.

— Nie jest to łacina, kochany Kasprze, lecz język bardzo do niej podobny. Przypuszczam, że wyrazy mają oznaczać: „Pamiętaj sobie!”

— Pamiętaj sobie! — powtórzyłem. — Pamiętać będę, drogi wuju! Tak, jak jest rzeczą pewną, że mój ojciec zginął zamordowany, tak niezawodnie o tem pamiętać będę, gdy wybiję godzina odwetu!

Mowa moja dziwną wydawać się musiała w ustach dziecka. To też wuj spojrzał znowu na mnie, lecz sądząc prawdopodobnie, że zmartwienie pomieszało mi zmysły, nic nie odpowiedział.

— Czy mówiłeś z kim o swoim odkryciu, wujaszku? — zapytałem po jakimś czasie.

— Nie widziałem nikogo, z kim mógłbym pomówić o tem. Prawdopodobnie odbędzie się nowe śledztwo, lecz do czegoż doprowadzić może choćby najskrupulatniejsze badanie? Przypuszczam, że człowieka, który przed przysięgami składał zeznania, nie zobaczymy już więcej. Opowiadanie jego było nieprawdopodobne, a to, co odkryłem, czyni je jeszcze nieprawdopodobniejszym. Niech mi Bóg jednak przebaczy — zawołał wuj nagle — że na jedną rzecz nie zwróciłem uwagi wprzód! Twój ojciec miał powrócić do kraju na pokładzie „Fortuny”, a tymczasem ten człowiek nazwał statek, który się rozbił na naszych brzegach, „James i Elżbieta”.

— To była „Fortuna”, wujaszku, a człowiek, który powiedział, że okręt rozbity nosi miano „James i Elżbieta”, skłamał... wierutnie skłamał!

— I ja tak sądzę.

— Co do mnie, jestem tego pewny, wiem...

— Jakto? co wiesz?

— Wiem, że „James i Elżbieta” znajduje się obecnie w porcie Falmouth, a jego kapitan bawi prawdopodobnie jeszcze w polkimbryjskiej karczmie.

Tu opowiedziałem, kiedy i w jaki sposób spotkałem kapitana Antoniusza Merrydew na gościńcu wiodącym do Polkimbra. Nadto — bo potrzebowałem raz nareszcie wygadać wszystko, co mi ciążyło na sercu, a czego nie wyznałem dotąd w całej rozciągłości i ze wszystkimi szczegółami, nawet wówczas,

gdy po zaślubieniu matki pobiegiem do Lizard, gdzie, w rozdrażnieniu nerwowem i przy wielkim znużeniu, zeznawałem w pośpiechu ciotce Elżbiecie i wujowi piąte przez dziesiąte — opowiedziałem mu moje spotkanie z Johnem Railton, walkę, w której zginął, oraz jak mi wprzód doręczył pakiet z pudełkiem i listem, które ukryłem w oborze, o czem nie wspominałem jeszcze nikomu. W miarę mego opowiadania oczy wuja wyrażały coraz głębszy podziw i coraz większe zajęcie. Ja zaś mówiłem wszystko — wszystko, nie pomijając najdrobniejszego faktu, niedawno z powodu doznanych zmartwień zatartego w pamięci, obecnie zaś wysiłkiem woli z niej wydobytego. Po chwilowem osłupieniu, które z natury rzeczy wkrótce ustąpić musiało, wujaszek nie mógł wątpić ani o moich zdrowych zmysłach, ani o mojej prawdomówności.

Gdy skończyłem, nastąpiło długie milczenie.

W końcu wuj Loveday przemówił:

— Jest to historia nadzwyczajna... nadzwyczajna historia — powtórzył parę razy powoli, poważnym tonem. — W życiu mojem dotąd nic podobnego nie obito się o moje uszy. Trzeba pochwycić zbrodniarza. Nie znajduje się on prawdopodobnie daleko, jeśli... jak powiadasz... widziałeś go w Lantrig w ciągu przedostatniej nocy. Przypuszczam, że po deklaracji kapitana, musiano z Polkimbra wysłać za nim listy gończe, lecz bądź co bądź wyprawę zaraz Józefa Roscorle, który jest na dole, ażeby się o tem przekonał. Muszę, kochany Kasprze, wypalić fajkę, by dobrze się namyślił nad tem wszystkim. Nie jestem ja namiętym palaczem, bo ciotka twoja nie znosi zapachu tytoniu, palenie jednakże dopomaga mi nieraz do zastanawiania się głębszego nad sprawami ważnemi. Skupia moje myśli, ześrodkowując je na danym przedmiocie i rozpierzchnąć się im nie pozwala. Jeśli czujesz się wypoczętym, ubierz się tymczasem. Poczem zejdziesz do obory i przyniesiesz pakiet. Gdy fajkę wypalę, znajdujące się przy nim pismo przeczytamy razem. Zadziwiająca historia — mówił, drzwi otwierając — zadziwiająca! Muszę wypalić fajkę. Daję słowo, że cała ta historia wydaje mi się ze wszech miar nadzwyczajną!

To rzekłszy, wyszedł, a ja zacząłem się ubierać.

Wkrótce byłem gotów, więc natychmiast pobiegiem do obory. Rozejrzawszy się w około, łatwo się przekonałem, że nikt w niej nie plądrował. Niepokojną i drżącą dłonią wyciągnąłem z obsypującego się w ścianie tynku parę kamieni, za którymi skarb mój znalazłem. We wdzierającem się przez uchylone wrota świetle, klamra metalowa zajaśniała całym blaskiem. Nie brakło niczego w pakiecie. Był w zupełnie tym samym stanie, w jakim go wsunąłem do kryjówki.

Schowałem go więc do kieszeni i wróciłem do domu.

Mijając kuchnię, ujrzałem panią Busvargus przyrządzającą śniadanie. Wiedziałem, że przed posileniem się, wuj nie zechce badać tajemnicy. Siedział w ogródku i z miną uroczystą palił fajkę, z której dym, buchający w górę, wijąc się w kółka, roznosił po całym starym dworze woń tytoniu.

Udałem się na pierwsze piętro do pokoju matki. Oboje zmarli leżeli obok siebie na jednym łóżku. Zdawali się — jakby życia ich nie przerwał czyn zbrodniczy — spać błogo i cicho, pogrążeni w śnie, który ich połączył na wieki. Chociaż ciągle jeszcze wzruszony bardzo, mogłem jednak teraz patrzeć na nich spokojniej. Ojciec pozostawił mi spadek, wprawdzie różniący się wielce od tego, którego on szukał po świecie, lecz ja jednakże podjąłem się go przyjąć i wszelki obowiązek z nim złączony spełnić należycie. Jeśli, patrząc na mnie z nieba, wiedział jakie znaczenie przywiązuje do pozostawionego mi dziedzictwa, to w chwili, gdy na jego martwych ustach kładłem pocałunek, byłby może jakimś znakiem zamiar mój potępił i mścić się zabronił. Lecz martwe jego usta milczały, zamknięte śmierci pieczęcią.

Gdy zeszedłem na dół, wuj już siedział przy stole. Nie mogliśmy jednak jeść ani on, ani ja. Tylko pani Busvargus zmartwienie nie odebrało apetytu, bo sceny podobne były dla niej powszednim chlebem. Traktowała śmierć niemniej uprzejmie, jak każdego nowego gościa w oberży męża. Przyzwyczajenie do przebywania przy łóżach umierających, dało tej dobrej osobie nie przemijającą młodość. Ręczę, że w ciągu tak okropnie smutnego dla nas dnia, ubyło jej coś niecoś z lat, których mnie przybyło, czyniąc nagle malca starszym i dojrzalszym.

Wujaszek starał się być wesoły, lecz łatwo można było poznać, że wesołość jego, to tylko udanie. Ukrywał je zaś o ile możliwości, zachęcając mnie do jedzenia. Napełniał postawione przedemną talerze w taki sposób, że były podobne raczej do wieży

Babel. Na szczęście, pani Busvargus przerwała to sztuczne i przymusowe karmienie, zabierając ze stołu nakrycie. Znikła nam z oczu, kryjąc się w pokoju za kuchnią, gdzie zajęła się umywaniem naczyń.

— Gdyśmy zostali sami, siedzieliśmy dość długo cicho i spokojnie, nie przemawiając do siebie ani słowa. Wuj, napełniwszy tytoniem fajkę, zapalił ją znowu i patrząc w sufit, pogrążył się w głębokiem dumaniu. Po jakimś czasie jednak, czy namysł doprowadził go do jakiegoś konkretnego wniosku, czy też palenie dostatecznie uspokoiło jego nerwy, dość, że zwrócił się do mnie i rzekł:

— Czy masz pakiet?

Pokazałem go.

Wyciągnął z kieszeni swoją olbrzymią, czerwoną chustkę, rozesał ją na stole i zaczął powoli z pudełka zesuwać opaskę. Poczem położywszy na chustkę klamrę, list i pudełko, każdą rzecz osobno, zapytał:

— Czy całość ułożona była tak, jak mi ją podałeś, gdy ów człowiek ci ją doręczył?

— Nie. List był osobno. To ja wsunąłem go pod opaskę, żeby mi się nie zawieruszył.

— Wydaje mi się — rzekł wujaszek, wkładając na nos okulary i wyprostowując papier — prawie nieczytelny. Widocznie nasiąkł wodą morską. Chodźno tu i spróbuj, czy twoje młode oczy nie odczytają go lepiej od moich starych.

Pochylił się obaj nad zamazanem pismem. List pisany był widocznie ręką kobiecą, stawiającą litery niezgrabnie i niedbale, a jednak pretensjonalnie. Kiedy niekiedy ciężkie naciśnięcie pióra, albo jakiś zakręt przy końcu zdania, pozbawiał go zupełnie jasności. Gdzie tylko znajdowały się owe kaligraficzne ozdoby, atrament rozplątał się w brudne plamy, czyniąc niemożliwem odczytanie zalanych lub spłowiałych wyrazów.

Z wielką trudnością, po kilkakrotnych próbach, odczytaliśmy jednak co następuje:

„Witajcie nam!” Barbican. Plym...

„Mój najdroższy, mam nadzieję, że list ten stanie cię w tak dobrem zdrowiu, w jakim sama piszesz. Spodziewam się również, że ta podróż... nowe karty z Szymonem, jako towarzyszem, który ma być dobrym przyjacielem, chociaż, jak sam wiesz najlepiej... nie myślałam... konkurował o mnie... Lecz tak jest dobrze i... trunki... błagam o to Nieba, aby dało nam dnie szczęśliwsze. Interesa idą bardzo miernie i nie wiem... mała Jenny świetnie zdaje egzamina. Już sama prowadzi moje księgi handlowe, co jest dla mnie wielką pomocą... zajmuje się często, siedząc w salonie... Powiada, że zrobiłeś dobrze będąc... Fala... nie ufać Szymonowi, który, jak mu to powiedziałam, słuszności mieć nie może, bo to przecie on sam doradził... ową historię i przestrzegł, aby nie pić mocnych trunków, których on sam nie używa nigdy. Jenny lubuje się w książkach i powiada, że nauczy cię pisać, gdy powrócisz, co będzie wielką radością... zwłaszcza, gdy jesteś tak daleko... i nigdy ani słówka. Cudów dokazuje pod jej kierunkiem i śmiem cię zapewnić, że ci o wszystkim doniesie w liście, który do ciebie pisze... Szymon pisać za ciebie, bo on przecie... uczony, co jest rzeczą zrozumiałą... w biurze. Dziwię się, że je porzucił, ponieważ nie lubi morza, co słyszałem nieraz... jeden z was dwóch. Zapomniałam ci powiedzieć... bardzo dziwny, gdy wyjeżdżał... lecz w pośpiechu i wrzawie wyszło mi to z pamięci... nieprzyjemnie dla mnie myśleć o tem... moja rozmowa z tobą naturalnie musi być szczerą... odległość. Oto wszystko, co obecnie donieść ci może czule kochająca żona

Lucya Railton.

Jenny mówi... nie zmieni się... prawdopodobniejszem się wydaje, gdy to pochodzi odemnie... Zyczę, żebyś mógł mieć...”

Według mego przekonania, list powyższy rzucał bardzo słabe światło na zagadnienie, jakie mieliśmy do rozwiązania.

Wuj przeczytał go trzy, czy nawet cztery razy, poczem papier złożył i ponad okularami, które opuścił nieco niżej, spojrzał na mnie.

— Twierdzisz, że ów zbój, przezywający się Rodofani, mówił po angielsku?

— Tak dobrze, jak my, wujaszku. On i tamten drugi mówili z sobą ciągle po angielsku.

— Hem, hem! I mówili o jakiejś Jenny, nieprawdaż?

— Tak. On Johnowi groził, że Jenny nie będzie mogła wyjść za mąż, bo...

— A więc to jasne jak słońce! On zowie się nie Giorgio, lecz Szymon. Jeśli kiedykolwiek zakładać się będę... co uważam za rzecz nieprawdopodobną, bo sprzeczną z wyznawanymi przezemnie zasadami... założę się o moje guziki, że nazwisko jego nie brzmi Rodofani, jak moje nie jest Matuzalem.